

Na nielicznych kartach pamiętnika tego, pragnę opowiedzieć o najbardziej ekscytującej przygodzie mego życia, wymarzonej i zamyślanej od dawna, a w wyniku szczęśliwej losu koincydencji do skutku doszłej. U podstaw tej odległej i egzotycznej wyprawy legła zrazu potrzeba znalezienia się oko w oko z przedmiotem wieloletnich dociekań moich, to jest odczytaniem egipskich hieroglifów w postaci w jakiej pozostawili je przed tysiącleciami wprawni w rzemiośle swoim, skrybowie. Chcąc uczuć ślad pędzla i rylca uchwyconego pewnie w ich wysmukłych palcach, nieprzeliczone ilości zwojów papirusowych przewertowałem jak i po rytach naściennych, odczytując je, dłońmi wodziłem. Starożytne ośrodki miejskie Memfis, Karnaku i Abu Simbel wstępnie rozpoznane zabytki skrywające, w pełni zamiar ten umożliwiły, stając się przedmiotem analiz tyleż wnikliwych co nieprzewidywalnych. Metr po metrze, przeszukiwaliśmy teren stanowiący świadectwo kultury zaginionej w czasie nader odległym. Przez niekończące się dni i tygodnie ekspedycja nasza przetrząsała miejsca, blask starożytnej onegdaj świetności wciąż odbijające. Wszędzie tam, gdzie czas pozostawił dowody osiągnięć starożytnego ludu, odkryć dokonano przednich, poszerzających stan badań Egiptologii, jakże bardzo jeszcze raczkującej. Każdy zabytek stał się przedmiotem wnikliwych dociekań naszych. Odrestaurowywano wydobyte spod piasku płaskorzeźby. Rysownicy wierne repliki monumentów sporządzali, rzeźb i inskrypcji, a każde z nich novum znaczące wносиło do znanych już wykopalisk. Prace przez nas podjęte przyczyniały się do ustalenia rodowodu jednego z najstarszych zabytków piśmiennictwa. Snop nowego światła rzuciły na prawa ongiś rządzące jedną z najlepiej zorganizowanych ludzkich społeczności, zdolnej zbudować militarne imperium, władnej wznieść najwyższy ówczesnie gmach nauki, kultury i medycyny. Obok dowodów na potwierdzenie słuszności metody mojej, na podstawie odbitek z kamienia z Rosetty opracowanej, najbardziej interesowało mnie odnalezienie bezpośrednich wizerunków ludzi, ich fizjonomii, koloru skóry, budowy ciała których nigdy wyobrazić sobie zdołałem, z przyczyn najzupełniej mi nie znanych. Baczenie obserwowałem monumentalne wizerunki Anubisa, Hator, Seta, Wadżet, lecz nadal nie ożywały one w wyobraźni mojej, nie przyoblekały ludzkiej tkanki, nie poruszały się ruchem naturalnie człowiekowi przypisanym, w odróżnieniu od wszystkich innych ras, odczytaniem pisma których i wszelkich przekazów literackich w życiu swoim się zajmowałem. Szybkie tempo prac naszych nie odbywało się kosztem jakości prowadzonych badań, jako że zebrane materiały przewyższały możliwość katalogowania ich przez członków ekspedycji naszej. Przeciążone teki sztychów i rysunków pełne, w szwach pękały, a kryły niezrównany materiał porównawczy i odwzorowanie szczegółowe zabytków egipskiego piśmiennictwa. Szybko po sobie zmieniały się miejsca prac i badań naszych Memfis, Karnak, Abu Simbel. Kompletowane zbiory z dniem każdym skarbem bezcennym się stawały. Wszystko co zdołałem tutaj zobaczyć i skatalogować przekroczyło najśmielsze oczekiwania moje. Na skórze swojej poczułem oddech wielu tysiącleci historii ludzkości, a skóra ta przy każdym z takich kontaktów napinała się, drżała i pulsowała w sposób ode mnie niezależny. Nie opuszcza mnie także poczucie jakoby dziedzictwo starożytnego Egiptu, jego pouczająca historia, sztuka i kultura, inżynieria zyskają należyty im odbiór przez cywilizację naszą, dopiero w momencie opublikowania moich prac naukowych, szkiców, sztychów i rysunków powstałych podczas egipskiej ekspedycji, a nade wszystko zapisów w diariuszu tym poczynionych. Przeczucia i oczekiwania związane z wyprawą tą, zbyt nikłe się okazały, porównując je z możliwościami jakie badane obiekty przede mną roztoczyły. Wszystko co dotąd nieledwie przeczuwałem, jak i to czego nie byłem w stanie przeczuć, rzeczywisty wymiar tutaj przybrało i milowym kamieniem na drodze rozwoju Egiptologii się stało. Ponad wszystko inne, najbardziej dla mnie budującym doświadczeniem była możliwość skonfrontowania umiejętności świeżo nabytej w odczytywaniu hieroglifów z oryginalnymi zapisami starożytnych Egipcjan i poznania korzeni cywilizacji naszej.

Niektóre treści odczytanych zapisów przeszły najśmielsze oczekiwania moje. Pomimo posiadanej wiedzy

i doświadczenia ze starożytnym Egiptem związanych, nie wiem do prawdy w jaki sposób się do nich odnieść, a tym bardziej już, w jaki sposób przekazać ich treść, aby zrozumiałymi i wiarygodnymi się stały. Nie odważyłem się nawet w obecności współpracowników najbliższych, na głos ich przetłumaczyć, ani też rodzinie o nich wspominać, ażeby uniknąć posądzeń o czcze fantazjowanie, konfabulację, czy też niewłaściwe ich odczytywanie. Nawet wyobraźnia moja rozbudzona, chłonąca i przetwarzająca wszystko co wiązać się może z historią Egiptu, okazuje się wobec nich najzupełniej bezradna. Niczym rozbita armia kapituluje przy pierwszej próbie, uzmysłowienia sobie choćby małej części tego, co stało się treścią zapisów do mnie przemawiających. Od czasu tamtego ciemne, saharyjskie noce stały się dla mnie długimi i bezsennymi, a każde wspomnienie hieroglifów odczytanych, budziło nieskrywany respekt. Bywały czasu kwarty że powodowany nietajonym lękiem, co też nowego odczytane hieroglify oznajmić mogą, prace przerwać zamierzałem i najbliższym szkunerem do któregoś z francuskich portów powrócić. Dopiero namowy wiernego towarzysza wyprawy Roselliniego, do zakończenia ekspedycji w przewidywanym terminie zdołały mnie nakłonić. Obok wszystkich zdarzeń niespodziewanych, jako osobiste osiągnięcie uznać mogę, możliwość doskonalenia umiejętności nowo nabytych, wszak odczytywać mogłem bez ograniczeń inskrypcje na ścianach grobowców, świątyń, na stelach, pylonach, jako i posągach wyryte. Będąc tutaj ostatecznie potwierdziłem słuszność metody swojej w odczytaniu hieroglifów, skuteczność odkrytego klucza. Wszystko co skrywała dotąd siódma pieczęć tajemnicy, podwoje otwarło i uczyniło dostępnym dla każdego, kto zastosowaną przeze mnie umiejętność posiąść zechce. Atoli noszę się też z zamiarem, usystematyzowania zgromadzonych materiałów celem opracowania czegoś w rodzaju przewodnika po starożytnym Egipcie, jak też spisania gramatyki i słownika hieroglifów, żywię też nadzieje że wszechmocny Bóg mi w tym dopomoże.

Tych i innych myśli i wspomnień garść w pamięci przywołałem, notatkami na egipskiej ziemi poczynionymi uzupełniłem i na stronach tych nielicznych, inkaustem i piórem gęsim skreśliłem.

Morze Śródziemne, dnia czternastego sierpnia roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Zbliżając się do wybrzeży Afryki, morze dotąd nadzwyczaj spokojne, z godziną każdą wzburzonym i spienionym się stawało. Wiatr nam sprzyjający, na sile niebywale przybrał popychając włoski okręt, zdawać by się mogło, wprost na nabrzeżne skały. Rozpostarte żagle zafurkotały na wietrze, a uginające się maszty wydawszy z siebie chrzęst równomierny, wprawiły załogantów do dźwięków takich nienawykłych, w niepokój wielki. Do skał nabrzeżnych się zbliżywszy, odniosłem wrażenie nieprzeparte, jakoby pod słońcem jaskrawszym i gorętszym się znalazł. Wrażenie jakoby na kontynencie odległym, po świata stronie przeciwnej, kroki pierwsze stawiał. Marynarze włoscy do wiatrów porywistych i żaru z nieba lejącego się z dawna przywykli, niepokoju nijakiego po sobie poznać nie pozwalali.

Pełne pasji wydawać się może marynarskie życie, pośród śmiertelnej toni o przeżycie z naturą rozhukaną walczące, w bezkres spienionych wód wrzuconym będąc. Satysfakcję też wielką ze starcia takiego owo życie wynieść musi, siłom natury skutecznie się przeciwstawiając. W czas żywiołów uspokojenia, dla odmiany, powabu pełne się wydaje, gdy marynarz na szczyt masztu wspięty, bezmiar mórz i oceanów podziwiać może.

Pustynia libijska, dnia szesnastego sierpnia roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego

Pierwsze kroki chwiejne jeszcze i niepewne na ziemi afrykańskiej stawiając, bardziej ona południową niż wschodnią się wydała. Nie jawiła się ziemią gdzie słońce wschodzić by miało, lecz już z rana samego,

południowym żarem, wszystko w dole chciało zasypać i ostre jak jatagan promienie na lud miejscowy zesłać. Lud ten już w pierwszym oglądzie do hieroglificznych przedstawień i ukazań najmniej jest podobny. Nie tylko wydaje się on być mentalnie przemieniony przez tysiąclecia kolejnych tradycji, zwyczajów i obrzędów ale też i powłoka jego cielesna odmienną postać przybrała, koloryt bardziej rdzawy i miedziany. Jasność karnacji z przekazów staroegipskich wynikająca, u niektórych tylko osobników widywana, niewielkie odniesienie do czasów zamierzchłych mieć może. Ozdoby i szaty noszone także w rodzaju i kolorze znacząco się różnią. Czarczafy długie i czarne u kobiet tutejszych spotykane, przez wzgląd na muzułmańskie pochodzenie, prawami historii, na papiirusach ukazane być nie mogły. Kolczyki długie, miedzią i mosiądzem dźwięczące, bransolety na przegubach dłoni i naszyjniki na piersi zawisłe, żadnych ze znanych mi przekazów egipskich, nie odzwierciedlają. Pośród kobiet w ciemne całuny owiniętych, zdarzają się i takie w barwne tkaniny strojne, jednak u nich barw i wzorów staroegipskich próżno poszukiwać. Wzory i barwy te bliższe są arabeskom w meczetach przedstawionym, niżeli obrazom na ścianach świątyń egipskich odmalowanym. Na wzór staroegipski jedynie, na głowach ciężary niemałe noszą. Spotykałem kobiety po osiemdziesiąt funtów co najmniej, bez trudu unoszące, prawą dłonią nieznacznie je podtrzymując. Krokiem równym i miarowym przy tym do domostw zmierzały, podziw i zdumienie moje budząc. Mężczyźni tutaj zamieszkali na głowach nakrycia bliższe tureckim noszą i długie białe koszule, burnusami zwane, u bioder pasem spięte i gdyby je luźnymi pozostawić zechcieli, byłby to jedyny element ich garderoby, do strojów kapłanów egipskich nawiązujący. Skojarzenia żywe z czasem staroegipskim jeno chudość ludu tutejszego budzić może, kościstość postury, ich smukłe nogi jakby zupełnie łydek pozbawione, na podobieństwo staroegipskie w sandały rzemienne obute. Wydatne kości policzkowe podobieństwem jeszcze wykazać się mogą, bo oczy małe, mięsiste wargi, płaskie i szerokie nosy nijak już do kształtów twarzy z epok farańskich nie nawiązują.

Alexandrya, dnia dziewiętnastego sierpnia roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Całą ekspedycją naszą zwiedziliśmy ruiny starożytnej Aleksandryi jako portowi najbliższej, przez młodego króla Macedończyków założonej. Pierwszy kontakt z żywym dziedzictwem starożytności, przypawił mnie o krew szybciej pulsującą. Pot ściekał kroplami większymi po czole moim ogorzałym. Dłonie rozpostarte do każdego większego kamienia przykładalem, chcąc poczuć powiew owych czasów zamierzchłych. Okazało się dla mnie rzeczą niewymownie przyjemną i doznaniem wielce oryginalnym, rzucić wzrokiem przez kotarę czasu na styl życia ludu oddalonego od nas kilkudziesięcioma wiekami burzliwej historii, a różniącego się od nas tak wierzeniami, kulturą jak i obyczajem. Stojąc przed kolumną Pompejusza, z uwagą wnikliwą na obeliski królowej Kleopatry spojrzeliśmy. Z zachwytem nie małym podziwialiśmy jej sale kąpielowe, w których to podług przekazów kronikarzy, w świeżym mleku kąpać się miała dla urody zachowania, starzeniu w ten sposób także chcąc się przeciwstawić. Ochłonawszy nieco z wrażeń pierwszych, do katakumb zeszliśmy, w skale wydrążonych. Od fellacha miejscowego wiedzy zasięgnęliśmy, jakoby w czasach zamierzchłych przestrzeń bezmierną obejmowały, pod miastem całym nieprzerwanie się ciągnąc. Do dnia dzisiejszego niewiele z miasta podziemnego pozostało, większość korytarzy zatorom uległo, a kamienie wokół porozrzucane, przeszkodę nieprzebrnioną stanowią. Zawracanie z drogi obranej na skutek zawałów ścian i sufitów, nader częstym się staje. Z każdym krokiem naszym, słowa fellacha wiarygodniej brzmiały, jakoby mała tylko część ich dostępną pozostawać miała dla wszelkich wędrowców i badaczy zamierzchłej przeszłości, a ruin tych penetracja nad wyraz niebezpieczna okazać się może. Atoli zawiedzeni bardzo i zniechęceni nieco, bacząc uważnie by czasu umówionego w hotelu dotrzymać, postanowiliśmy inne pozostałości dawnej chluby starożytnego świata zwiedzić. W ruinach biblioteki aleksandryjskiej się znalazłszy, wyobraźni i pamięci pracę, tytuły manuskryptów niegdyś tu przechowywanych wyliczaliśmy, ubolewając nad szkodą niepowetowaną, jaką pożar owej biblioteki ludzkości wyrządził. O ileż łatwiejszym byłoby rozwiązanie problemów nas nurtujących, iluż odpo-

wiedzi na nieodgadnione tajemnice starożytności mogłoby udzielić odczytanie, choćby niewielkiej części zgromadzonych tu wolumenów. Wracając do hotelu niewczesnym wieczorem, przed pałacem namiestnika tureckiego, Selima Paszy na chwil kilka zmęczeni, przystanęliśmy. Przez moment dłuższy, czerwonym światłem słońca zachodzącego oślepieni będąc, na twór ów dziwny tureckiej architektury spoglądaliśmy. Nie mogąc przy tym określić czy na modłę orientalną, czy też europejską zbudowany został. W guście złym był, w proporcjach chybiony, w zamian w zbytku i przepychu tonął. Jakże daleko budowli takiej – wspólnie osądziliśmy – do niedoścignionego ideału dzieł starożytnych architektów, nie wiedzieć w jaki sposób i kiedy wystawionych.

Kair - Giza, dnia dwudziestego piątego sierpnia roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Po przerwie niedługiej na powrót znaleźliśmy się na pełnym morzu. Dwa dni i noc spędziliśmy na wzburzonych falach. Na ląd schodząc, sady wielobarwne urok niezwykły przed nami roztoczyły. Rozległe plantacje owoców rozmaitych na pagórkach porozrzucane i w ścisłe rzędy upięte, przestrzenie pomiędzy Nilem, a morzem wypełniały, jak gdyby strzec miały miasto przed nagłym przypływem, bądź wylewem morskim. Jak okiem sięgnąć wokół rosły drzewa niewielkie, ugięte pod ciężarem brzoskwiń sokiem nabrzmiących, pomiędzy nich nieśmiało wyzierały mniejsze a żółte morele. Wzgórza sąsiednie porastały krzewy bawełny z których to kępy białej włókniny z wiatrem ku morzu ulatywały. Tło odległe wszystkich ich stanowiły lasy palmowe, sponad których z rzadka wyłaniały się wieże strzelistych minaretów, na modlitwy wiernych Maurów kilkakroć w ciągu dnia, wzywające. W drodze do Kairu karawana nasza minęła cieniste sykomory, a pod nimi Fellachów w głębokim śnie pogrążonych. Na lewo i prawo jakby spod piasku wyrastały siedziby ludności tutejszej, a raczej kopce z gliny i błota wystawione, w zafrasowanie wprawiając nad upadkiem i nędzą spadkobierców jakże wspaniałej, niegdysiejszej cywilizacji. Sponad kopców tych dym błękitny się unosił, a zza wyjść niskich derką przysłoniętych, wyłaniały się gromady dzieci brudnych, widokiem naszym wielce zaciekawionych. Ostatnią z odnóg delty Nilowej minawszy, budowle potężne krajobraz nam przysłoniły. Przeznaczenia i celowości owych bastionów się nie domyślając, a doszukując się w nich bastei obronnych, fortalicję wojskową tworzących, o poradę przewodnika spytaliśmy. Wyjaśnień niezbędnych nam udzielił i śluzami wodnymi określił, przed wylewami Nilu teren okoliczny mającymi zabezpieczać. Wykorzystywać też ich miano do uprawów kontrolowanych, ażeby okoliczne niwy, zielone o każdej porze roku, użyźniać. Niechybne wkroczenie do krainy Faraonów obwieściły nam - olbrzymiejące sylwety piramid - zniekształcane falującym powietrzem, linię nieboskłonu unoszącym. W miarę zbliżania się, wrażenie skalnych grani sprawiać poczęły, jakoby siłami natury wzniesione być miały, nie zaś chudymi dłońmi wątłych ludzi. Aliści, nieprzystawalnością swoją do niczego wokół, kontrast czyniły ogromny. Nakazywały doszukiwać się początków swoich we wszechwładnych dłoniach stwórcy, formującego łańcuchy górskie, lub też nieznaną a potężną siłę, wyrrywającą dzieło to z obcego padołu i przenoszącą je, sposobem nieznanym, na ziemskie łono. Z bliska wydawały się być czymś, na znak wiecznotrwałego przymierza z boskimi siłami, stworzonym. Siłami zsyłającymi dzieło to ku bojaźni i przestrodze, jak gdyby Bóg raz jeszcze potwierdzić chciał potęgę mocy swoich, dać dowód kolejny wielkości stworzenia, a małości i miałości wszystkiego wokół, wraz z człowiekiem samym. Wzrastać muszą niepomierne wobec wszystkiego co pomiędzy niebem a ziemią zawarte, a maleć mogą jedynie na oddalającej się linii horyzontu.

Sylwety piramid oddalając się przysłaniać nam poczęły Kairu panoramę, w kierunku którego skręciliśmy na hotelowy nocleg. Wewnątrz dzielnicy przemysłowej w centrum ruchu ulicznego i zgiełku przyszło się nam znaleźć, pośród zaprzęgów mijających się z trudem na wąskich ulicach, pośród głośnych nawoływań i ponagleń w języku mauretańskim wypowiedzianych. Pośród gęstych obłoków pary z turbin fabrycznych wyzierających, bardziej jeszcze nieznośnym tutejszy klimat zdolnych czynić. Przystawaliśmy w cieniu rozłożystych platanów i sykomorów, figowców i palm daktylowych, akacji i opuncji obrzeża dróg po-

rastających. Mijaliśmy długie kawalkady zaprzęgów końskich i oślich, muły juczne do drzew przytroczone i woźniców o pnie wspartych, zapewne na przyobiecany transport towarów fabrycznych, oczekujących. Mijaliśmy karawany wielbłądów, środek dróg przemierzające, dopiero pod uderzeniem batóg Beduina wszelkim innym wehikułom, miejsca skore ustąpić. Przemierzaliśmy uliczki wąskie i cieniste, chłodem zbawiennym nawet w południe gotowe uraczyć. Spoglądaliśmy na ludzi i zwierzęta pośród pyłu i kurzu, stłoczonych. Czerń czadorów mieszała się z bielą burnusów, a cała ta ciżba nie wiedzieć dokąd postępowała, czy ku bazarom kairskim, gdzie zapach kardamonu z hibiskusem się miesza, czy też ku meczetom na kolejne tego dnia modły. W smutek i przygnębienie obrazy te wpędziły mnie wielki. Opuszczając Europę zgiełkliwą, innych zgoła doznań się spodziewałem, a znalazłem się w mieście na styl i modłę europejską zorganizowanym, industrialnym, a nawet bardziej jeszcze głośnym, brudnym i chaotycznym.

Minęliśmy Nil w swojej szerokości do objęcia trudny, o źródłach nieznanych i wodach zielonych, cały Egipt użyźniających. Barki spławne i statki parowe w zgodnym sąsiedztwie w dół rzeki, ku morzu Śródziemnemu zmierzały. Drugie tym pierwszym drogę torując, wzburzoną falą ku przodowi popychały. Dopiero na przeciwnym brzegu rzeki się znalazłszy, w dzielnicach mieszkalnych, w oczy rzucać się począł przepych azjatycki, większy też panował tu ład i elegancja. Rzecz by można miasto z tysiąca i jednej nocy, blichtr i blask złocen wokół dostrzegalny, jakim nas od stuleci w Europie karmiono. Kopuły i portyki meczetów z niebywałym kunsztem i bogactwem materiałów i ornamentów, zdobione. Pośród kolumn wysokich i gęstych niczym pnie drzew leśnych, zza krat przepyszne groby Kalifów, dostrzegliśmy. Okrywały je tyftyki o wartości wielkiej, a ściany wokół nich długimi wersetami z Koranu przyozdobione były. Na drogę zwirową wjechawszy, wyprzedzały nas karety typu angielskiego, szejkwie arabscy na siwych koniach czystej krwi usadowieni, elegancją swoją opromieniając. Obraz jakoby z bajek Szeherezady oczom naszym się ukazał. Krzewy w rezydencjach, wszędzie na okół starannie przystrzyżone, bogactwem kształtów nas poraziły. Wodotryski strumieniami sprężonej wody kilku metrów zdolne sięgać, w niebo wystrzeliwały. Gościńce wokół szerokie i czystsze do restauracji i kawiarni ekspedycję naszą doprowadziły. Europejczycy i Mahometanie ubrani podług wzorów mody najnowszej, na tarasach kawiarni w trzcinowych krzesłach usadowieni, kawę z małych filiżanek popijali. Inni pod parasolami od słońca chroniącymi nargalę palili, przy dźwiękach bulgoczącej wody, kłęby dymu w niebo wypuszczając. Wszyscy, bez wyjątku w rytmy muzyki oryentalnej zasłuchani. Wrażenie odniosłem jakoby Kair brudny i zgiełkliwy opuścił i do raju muzułmańskiego trafił, hurys jeno w pobliżu doszukać się nie mogłem, w zamian zaprosiny do wnętrz ekskluzywnych na każdym kroku napotykałem.

Kair – Giza, dnia dwudziestego szóstego sierpnia roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Po nocy chłodnej, na skutek zmęczenia niehumanitarnego w całości przespanej, śniadanie obfite i syte zjadłszy w podróż ku piramidom wyruszyliśmy. Karawana nasza, wyposażona w dromadery jednogarbne, osły i muły juczne, co rusz w głębokie piaski, ku utrapieniu naszemu zapadała. Długo szukaliśmy dróg przejezdnych, przez burzę piaskową wniwecz obróconych. Pustynia libijska - żywioł to bezmierny, po widnokrąg się rozciągający. Nie sposób na czymkolwiek oka zatrzymać, jeżeli miałoby się cokolwiek strudzonemu wędrowcy ukazać, to jedynie góry nagie, światło słoneczne odbijające, niczym brylanty drogocenne. Pustynia w całej rozciągłości swojej, nieprzebytą, nawet dla najśmielszego z wędrowców wydawać się może. Znajdując się pośród podobnego morza piasku, w granicach przez żadnego z badaczy nie określonych, myśl jedyna nieśmiało się nasuwa; czemuż to Bóg miłosierny w całej swej doskonałości tak ogromny ziemski obszar ugięciem pozostawił, gdzie ani człowiek, ni też zwierze schronienia nijakiego znaleźć nie może. Niepojęte dla nas ludzi wyroki Najwyższego i domyślać się jeno możemy, czy na wieczne błędzenie dusz potępionych miejsce to przeznaczył, czy też na miejsce pokutne, przed dostaniem się w czyśćcowe podwoje. Niepojęte też ilości piasków tutejszych, jakby z klepsydry wielkością piramidę prze-

rastających, ustawionej gdzieś pośrodku pustyni, wydobywać się miały, lub też spływać wraz z deszczem na ziemskie oblicze. Spomiędzy krajobrazu tak niegościnnego, śmiertelne niebezpieczeństwo w każdej chwili zdolnego sprowadzić, wyrastać poczęły po raz drugi, zarysy piramid. Drugie już z kolei chciałoby się zadać pytanie, czy pośród ziemi wszelkiemu stworzeniu tak obcej i nieprzyjaznej, w miejscu tak odludnym i odosobnionym, godzi się pogrzebać zwłoki tak znaczne i cenne, jak następcę Bogów i boskie na ziemi wcielenie - samego Pharaona. Konotacje to nasuwać może, jakoby nie był on panem Górnego i Dolnego Egiptu, jeno winowajczą duszą na wiekuiste potępienie skazaną. Nie najlepsze to miejsce na przejście od ziemskiego bytu w wymiar nieskończony, od ziemskiej tułaczki ku przestworom kosmosu. W rzeczy samej sądy moje nietrafnymi okazać się mogą, niewiele przecież o kulturze staroegipskiej wiadomo, nieśmiało i bez przekonania przez starożytnych kronikarzy uwiecznianej. Przecież całe starożytne miasto Memphis, dzisiaj w stertę grobowców obrócone, zagadką i tajemnicą wielką pozostaje. Na straży jego Sphinx rozmiarów gargantuicznych wytrwale waruje, z każdym sążniem przebytej drogi ogromniejący. Dalibóg uczucie to niepowtarzalne, stanąć twarzą w twarz z czterdziestoma co najmniej wiekami historii ludzkości. Poczuć się jak wygnaniec, wyszły stąd u zarania historii i powracający jako syn marnotrawny, cztery tysiąclecia zmarnotrawiwszy. Cała historia naszej cywilizacji stanąć może przed oczyma, a na widok najwyższej z piramid zimno spływające po twarzy odczuć można, pomimo dnia upalnego. Doznać przeczucia jak gdyby istniało się wtedy i teraz jednocześnie i miało się złudzenie i pewność za razem, poznania i nie odgadnioności naszych ludzkich początków.

Piramidy w swoim majestacie nieogarnione. Szyi niepodobna w tył zadrzeć, ażeby stojąc u podnóża najwyższej piramidy, jej szczyt ujrzeć. Każdy z członków wyprawy w zaciekawieniu wielkim gradusów kamiennych dotyka z których to owe monstra zbudowane zostały, chcąc zapewne na swój sposób upewnić się, czy na pewno z kamiennej materii je wykonano. Precyzja ich wymiarów nader zastanawiająca, a dopasowanie ich wzajemne na tyle dokładne że ostrza brzytwy pomiędzy nimi umieścić nie sposób. Stopnie jakie kolejne bloki tworzą, jak przewodnik nasz twierdzi, oblicowaniem z białego wapienia wypełnione były, doskonały w wymiarach trójkąt tworząc. Jak treść przedwiecznej opowieści głosi, oblicowania te z piramidy zdjęto by na budowę meczetów kairskich wykorzystać. Niemniej przewodnik ten powielokroć się zarzekał że nigdy żadnego z oblicowań owych, w żadnym z meczetów nigdy nie odnaleziono. Spojrzałem ku szczytowi wielkiej piramidy i zamyśliłem się wielce, jakże by je zresztą zdjąć miano, jeżeli każda z płyt oblicówki, zgodnie z przewodnika twierdzeniami, po kilkanaście tysięcy funtów mogła ważyć. Nad sposobem umieszczenia ich pod niebiosami nawet nie ważyłem się zastanawiać. W nieskończone zadumanie może wprawić to dzieło umysłem nie ogarnione, jakoby przez olbrzymów o siłach niewyczerpanych wzniesione.

Każdy kto życzenie wyraził, mógł w grupie bądź pojedynczo wielką piramidę obejść, jednakże drogę podobną w słońca spiekocie przebywszy, zmęczenie wielkie i duszność w piersiach odczuwał. Kto chęć stosowną wyraził, mógł w przewodnika asyście na szczyt owego monstrum się dostać. Widok ponoć zapierający dech stamtąd się roztacza, a możliwość spojrzenia na świat z perspektywy tysiącleci, po kres życia w pamięci pozostaje. Niemniej śmiałkowicie wszyscy, kilka bloków kamiennych pokonawszy, w drogę powrotną w przestrachu zawrócili.

W oddaleniu nieznacznym od piramid rozciągają się ruiny starożytnego miasta Memphis. Zawieruchy dziejowe jakie się przez krainę tę nader często przetaczały, niewiele z tego miasta świetnego niegdyś, pozostawiły. Rozgrabiono wszystko za wyjątkiem cmentarzysk, w wapiennych skałach wyżłobionych. Przez długie wieki ponoć niczyjego nie wzbudzały zainteresowania, dopiero w czasach nam współczesnych od rabunków wolne nie pozostały. Przez złoczyńców w ostatnich latach splądrowane były w poszukiwaniu drogocennych precjozów, w które to zwłoki dostojników staroegipskich sownie wyposażano. Nagie mumie ludzi i zwierząt ponoć w obfitych ilościach, po dziś dzień tylko się ostały. Rachityczne dłonie z sarkofagów wystawiając, przerażenie w bojaźliwych szeregach ekspedycji naszej zasiały. Wiele z nich w dość dobrej kondycji zachowanych. W licznych twarzach, z bandaży odartych, zapewne w po-

szukiwaniu ozdób, rysy oblicza nadal wyczytać można, jednakże przerażenia nijakiego ani konwulsji przedśmiertnych doszukać się na nich nie sposób. Zastanawiającym wielce pozostaje fakt nieodnalezienia nigdy, jak po wielokroć zapewnił przewodnik, zwłok żadnego z Faraonów w żadnej z niebosiężnych piramid, co z przekazami historyków greckich z Herodotem na czele, w zgodzie nie pozostaje. Twierdzili bowiem zgodnie, jakoby piramidy grobowcami faraonów stać się miały. Na supozycje z liczного grona naukowców padające, jakoby zwłoki Faraonów wykradzione być mogły, przewodnik niezbicie zapewnił że miejsca godnego czci i boskości dla zwłok owych, w całej piramidzie nie przygotowano. Zapewniał on po wielokroć że wielką piramidę zdołał od wewnątrz dokładnie spenetrować, a jedyne miejsce za sarkofag mogące posłużyć, zabalsamowanych zwłok wraz z wyposażeniem na podróż do krainy Ozyrysa nie zdolne było pomieścić. Zapewniał pospół że rytów i malowideł hieroglificznych niewiele lub też zgoła wcale tam nie napotkano, co dla mnie, poszukiwacza wizerunków owego pisma, eksplorację wnętrza piramid uczynić by musiało bezużyteczną. Niemniej też wchodzenia do wnętrza piramid, przewodnik nasz z sił całych odradzał, a za jego namową, pozostałości grobowców wykutych w skałach z uwagą należną zwiedziliśmy. Mumiom kotów, pawianów, byków bacznie się przyglądając, zmierzch nas zastał, toteż obchodu ostatniego cmentarzyska przy świetle pochodni i kaganków zmuszeni byliśmy dokonywać.

Giza, dnia dwudziestego ósmego sierpnia roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Rzuciwszy za siebie wzrok, na monumenty w trójkątnym kształcie zamknięte, w dalszą wyruszyliśmy drogę. Na przedzie karawany, dumnie kroczyły wielbłądy, ku górze głowy zadzierając, szerokimi racicami drogę koniom i mułom jucznym torując. Na wielbłądzych grzbietach trzepotały derki i kilimy wełniane, z dala karawanę naszą słyszalną czyniąc. Konie wraz z mułami parskały i pochrapywały dziarsko, zapewne chcąc usunąć piasek do nozdrzy wnikaający. Wokół nas dwa tylko kolory cały krajobraz zdają się dominować, żółcień o gradacjach wszelkich i jasne indygo niebios firmamentu. Wszelkie natomiast wytężenie wzroku, by cokolwiek odmiennego na horyzoncie dostrzec, kończy się doznaniem po raz wtóry zjawiska miragem nazwanym, a w istocie swojej iluzją na pograniczu temperatur wysokich i światła zachodzącym. Zjawisko to piasek pustynny w wartkie rzeki i jeziora rozlewiste przeistacza tak wiarygodnie, że chciałoby się wszystko porzucić, ubranie z siebie zdjąć i kąpieli chłodzącej dokonać.

Wszelkie znaki życia na długie godziny niezauważalnymi się stają, najmniejszego nawet ptaka w locie uświadczyc nie sposób, jaszczurki z nory wypełzającej, ni szarańczy wiatrem z dalekich pól uprawnych przyniesionej. Wszędzie wokół jedynie tumany pyłów i kurzów niebo przysłaniają. Piasek miałki jak mąka przez najdrobniejsze sita przesypaana, wiruje w trans wprawiony, bezdźwięcznie i monotonnie jak tancerz wciąż w rytm tej samej melodii tańczący. Drogę dalszą kości i szkielety wielbłądzie, a nierzadko i ludzkie nam wskazywały. Z daleka na tle piasku bielejące, pod wpływem czasu zwapniałe i białością swoją wszelkie wizerunki śmierci zdolne przewyższyć. Inne jeszcze wraz z ciałem zaszuszoną spod piasku wydostawać się zdają, bardziej jeszcze przerażający widok czyniąc. Nie raz jeden, doskonale zachowane zwłoki spod powierzchni piasku wyzierając, wydawały się ku nam chude ramiona wyciągać, jak gdyby przestrzec nas zamierzały przed dalszym podążaniem obranym szlakiem. Na czaszkach wielu, po żółtką skórą obciągniętych, kosmyki włosów się ostały. Spod skóry o barwie pergaminu, zarys oczu nadal był czytelny, profil wciąż rozpoznawalny, jedynie czubek nosa bezwładnie ku dołowi u wszystkich tych mumii opadał. Spod warg wąskich i suchych, bielejące zęby ku nam zmarli ci szczyrzyli, jakoby śmiejąc się na poły, na poły drwiąc i szydząc z naszych zamiarów niewczesnych, potędze pustyni chcących się przeciwstawić. Wrażenie odniosłem przemożne, jakoby do zrozumienia dać nam pragnęły że z potencją pustyni żaden ze śmiałków nie wygrał jeszcze, w każdej minucie na wieczny spoczynek tutaj gotowym być musi, a życie jego tyle jest warte, na ile przypadkowy kaprys sił natury zezwoli.

Bez odzienia żadnego, zwłoki te osobliwe, samoistnie zmumifikowane piasku temperaturą wysoką, brakiem wilgoci wszelkiej do rozkładu tkanek niezbędnej, wiatrem i słońcem zaszuszone, a tumanami pia-

sku raz przysypywane, kolejnym razem znowu w całości spod niego wydobyte, setki lat i tysiąclecia mogły w miejscu śmierci swej przeleżeć. Ilóż to śmiałków i tułaczy zdążyły te niekończące się góry piasku pochłonać, ilu po wielokroć z miejsca na miejsce przesypać, wiekiściego odpoczynku im wzbraniając. Najmniej chrześcijański z chrześcijańskich to pochówek, pewnikiem także żaden z Mauretanów podobnego spoczynku, wrogom największym życzyć by się nie odważył. Przerazenie ogarnia na myśl samą o miejscu, do jakiego podobny drogowskaz doprowadzić może i czy warto za podobną wskazówką podążać.

Nocy tej długo przed oczyma miałem przygnębiające obrazy mumii na pustyni napotkanych. Przypominały mi się wszystkie relacje, przez przyjaciół moich z podobnych wypraw przywiezione. Według wierzeń staroegipskich śmierć końcem istnienia być nie miała, a jego przemianą jeno, wierzono że życie po śmierci szczęśliwszym okazać się może niżeli na ziemi. Wspominali oni jakoby Egipcjanie duszę człowieka Ba nazywali, czyli esencją jego osobowości. Jakoby po śmierci czekał ich sąd ostateczny, a serce trafić winno na szalę wagi, drugą zaś szalę pióro prawdy obciążać miało. Złe uczynki człowieka na tyle bardzo szalę obciążać mogły, że przeważały ono pióro owe, a wówczas demon serce to pożerał. Jeżeli zaś człowiek prawym był i szlachetnym, całe życie postępował uczciwie nikogo nie krzywdząc, jego serce lekkie było jak pióro prawdy, dusza jego natenczas mogła unieść się do krainy szczęśliwości, ażeby do ciała swego powrócić. Ciało miało ożyć nowym bytem, gdzie każda chwila niczym piękny dzień jawić się powinna.

Ujęło mnie wtedy ułudne do chrześcijańskich przykazań i raju naszego podobieństwo, stąd nad uniwersalnością przekazów owych dłużej się zadumałem. Nie tak odległym przeto od naszego wydawać się mógł, pomimo całych tysiącleci upływu, sposób odczuwania i myślenia ludu o którym najwymyślniejsze wśród Egypciologów krążyły opinie. Najwyszukańsze także przypisywano domysły, wyobrażeniom ludu tego o życiu pozagrobowym, wynaturzone cechy jego wyobraźni, przypisując. Zamiast wszystkiego tego, powinno się w ludzie tym starożytnym, cech wspólnych ludzkości dopatrywać, widzieć lud do naszego zbliżony, przypomnieć sobie o z dawna zapomnianej prawdzie, że istota ludzka zawsze zgodnie z jednakowymi prawdami postępuje i według tych samych reguł czuje. Długo rozmyślałem czy starożytni Egipcjanie, kast najniższych będąc członkami, pogrzebani w pustynnym piaskach, jak głosiły przekazy z którymi zetknąć mi się jeszcze we Francji przyszło, zmartwychwstania im przyobiecane dostąpić mogą? Uprzytomnić sobie nie mogłem - najwyraźniej zbyt słabo jeszcze znałem historię i zwyczaje ludu dolinę Nilu zamieszkującego – czy warunkiem zmartwychwstania koniecznym, było zachowanie ciała w całości, czy też wzorem chrześcijańskich dogmatów rozproszone być mogło? Patrząc na staranność z jaką obrzędu mumifikacji przestrzegano, wydaje się być zasadne, jakoby warunkiem zmartwychwstania było zachowanie powłoki cielesnej w nienaruszonym stanie. Przy okoliczności tej nader bałwochwalczym i bluźnierczym wydawało mi się przypuszczenie, że możliwym być może inny sposób zmartwychwstania, niżeli zgodny z regułami chrześcijańskiej religii. Nocy tej po raz pierwszy też uświadomiłem sobie że myślenie podobne wynikiem sugestii być musi, nawyków, tradycji i obyczaju. Liczne przecież języki poznając z kultur ludów tych byłem zaznajomiony, z wierzeniami jako też zwyczajami pogrzebowymi, a każda z kultur inne w tym zakresie przekonania przejawiała. Dlaczegoż więc za jedyną i na wiarygodność zasługującą miałyby być przez nas reprezentowana i na inne kontynenty siłą zaszczepiona? Po chwili obraz niezapomniany mumii owych wzrok mój przyćmił, jakże owi ludzie piaskom pustyni powierzeni, majestatem kastom rządzącym ustępować musieli, jakże bardzo ich życie nikczemnym wobec doczesności kapłanów i Pharaonów być musiało. Nie mniej zapewne niż ludu francuskiego, przed nieodległym czasem Bastylię zdobywającego i rewolucji dającego początek. Nie mniej podłym wobec żywotów Ludwików, dworzan i urzędników państwowych wydawać się mogło, a na równi z ludem egipskim, pomimo czterech tysiącleci historii, plasować się musiało.

Według opowieści Włochów z ekspedycji naszej, uprzednio już w Egipcie będących, w inny też sposób mumie dostojników państwowych i samych Pharaonów preparowano, prawdziwą wirtuozerią chirurgicz-

na się przy tym wykazując. Wszelkie czynności z balsamowaniem związane, siedemdziesiąt dni ponoć trwać miały, z czego dni trzydzieści sześć ciało w mieszance sody i soli - natronem zwanej przeleżeć miało. Wiernym odwzorowaniem balsamowania mitycznego Boga Ozyrysa, się stając. Wprzód mózg dostojnika usunąć miano, przez nos, narzędziem metalowym, specjalnie w celu tym zakrzywionym. W kolejności następnej nożem rytualnym bok zmarłego rozcinano, wnętrzności za wyjątkiem nerek i serca na wierzch wydobywano w specjalnych urnach je umieszczając. Po dniach trzydziestu sześciu w owym natronie przechowywania, ciało osoby wysoko urodzonej do domu oczyszczenia przenoszono, gdzie wewnątrz płukać miano w wywarze z mirty i cynamonu, a w kolejności następnej wodą z Nilu zaczerpniętą. Ciało tak oczyszczone, płótnem nasączonym w żywicy, osuszano. Zaszytym już będąc, ciało takie żywicą pokrywano, po czym owijano je w pasy płócienne. Podczas czynności tych chirurgicznych modlitwy i zaklęcia rytualne odmawiane były, mające pomyślność zmarłemu w zaświatach zapewnić. Po między warstwy płótna kolejne, wkładano talizmany i amulety ochronne i na powrót ciało żywicą pokrywano, by ostatecznie w całun owinąć. Na koniec zaś maska pośmiertna nakładana była, będąca wierna podobizną zmarłego. Ludzi mniej zacnych, w hierarchii społecznej o szczebel niżej będących, w szybszy i tańszy sposób balsamować miano. Ponoć przez otwory cielesne do wnętrza oliwę cedrową lekami specjalnymi wlewano, a po dniach kilku roztwór ten wraz z rozpuszczonymi wnętrznościami wypuszczano i osuszano ciało natronem, przy balsamowaniu ciał dostojników używanym. Najuboższym, z kast najpodlejszych jamę brzuszną wodą płukano by w niedługi czas natronem osuszyć, następnie w kondycji takiej lub też bez ingerencji żadnej, piaskom pustyni powierzać miano.

Długo nad wyszukanością sposobów tych, wieczoru tego rozmyślałem. Do spostrzeżeń doszedłem że wiara ludzi tych w zaświaty potężniejszą od naszej być musiała, skoro uwagę tak wielką do zachowania zwłok przywiązywali. Ponoć ciała Pharaonów ku odległym planetom wędrować miały, by z bogiem Słońca Ra, czekającemu na nie, na trwałe się połączyć. Bóg ten miał też na kontynuowanie ziemskich rządów Pharaonowi zezwolić. Dusze poddanych na podobne przywileje już pozwolić sobie nie mogły, do krainy cieni pokornie przechodząc. Nie mniej zadziwił mnie poziom wiedzy medycznej starożytnego ludu, przy którym to lekarze i felczerzy francuscy niejednego mogliby się nauczyć, a wręcz nauki kompleksowe pobierać. Z rytów widzianych wynikać miało jakoby trepanacje czaszki ludowi temu nie były obce, składanie kości po wielokroć złamanych, przetaczanie krwi od kobiet ciężarnych, mającą na skutek swoich właściwości nie zostać odrzuconą. Herodot już wspominał, jakoby przy złamaniach kości używano szyn z kory drzewnej, w tkaninę nasączoną żywicą, owiniętych. Kapłan Manethon pierwszy lekarz w historii człowieczeństwa, podaje relacje z wypalania guzów i torbieli rozgrzanym do czerwoności narzędziem, umiejętnie w tym calu zakrzywionym. Metodę leczenia uzdrowicielskimi właściwościami olejków eterycznych, miano też opanować. Na wszystko to patrząc z europejskiej perspektywy, rzec trzeba że dały znać o sobie lata zapóźnień średniowiecznych, posądzaniem o herezje spowodowane. Ukradkowe badania przez takich tuzów renesansu czynione jak Michelangelo Buonarottiego, czy Leonardo da Vinci, pomimo starań i wyrzeczeń jakie podczas sekcji tajnych ponosili, przepaści owej, przez wieki powstałej, zasypać w żaden sposób nie mogły.

Atoli dopiero co zdołaliśmy tę cywilizację odkryć, wielce w swej oryginalności unikalną, a już tylu zdołała nam pytań zadać, azaliż bez odpowiedzi pozostających. Poznać w małym nawet stopniu jej nie zdołaliśmy, a już tylu naukowców zafascynować zdążyła. Na trop nauk jej przebogatych dopiero co trafiliśmy, a już uczniami jej pokornymi stać się możemy. Jako mniemam, a w przypadkach takich intuicja zwykła mnie nie opuszczać, istotę cywilizacji tej przez kolejne stulecia zgłębiać będziemy, a najpewniej też w zupełności nigdy jej nie poznamy. Poprawkę wziąć należy na czasu upływ, wszelkie pozostałości po niej niszczący i grabieże przez państwa kolonialne dokonywane. Uważyć trzeba że Anglicy ów kamień z Rosetty, za odczytywanie hieroglifów mi służący w Muzeum Brytyjskim bezprawnie umieścili. Posągi lwów ze świątyni Mina w Koptos wywieźli, jak też listy Pharaonów na papirusie spisane, na ponad cztery i pół tysiąca lat się datujące i pieczęcie cylindryczne Górnego Egiptu o pięćset lat starsze, insygnia

władzy pharaoniej w tym koronę Nemes w niepowtarzalnym kształcie głowy Sphinksa. Mumie w sarkofagach w ilościach niezliczonych masowo na statki ładują i do Brytanii wywożą. Ponoć nawet czci należnej im nie oddając na proszek mielő i jako panaceum na wszelkie dolegliwości spożywają.

Pustynia libijska, dnia trzydziestego pierwszego sierpnia roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Obawy moje, jak już wkrótce okazać się miało, nie były bezpodstawne. Droga kośćmi usłana, doprowadziła nas do ruin cmentarza pośrodku opuszczonej oazy lokowanego. Cmentarz ów na modłę mauretańską wzniesiony, chylącymi się symbolami półkuli miejsca ludzkich pochówków znaczył. Arabskim też alfabetem inskrypcje na stelach nagrobnych były wykonane. Przysiadłszy na jednym z nich, napis ów zniekształcony piaskiem nawiewanym, przeczytać chciałem, jako że umiejętność władania językiem arabskim, tak w mowie jak i w piśmie w stopniu doskonałym, od dawna posiadałem. Doczytałem się imienia Mehmed, nazwiska Ibrahim w oazie Nehthes zamieszkałego, zmarłego w początkach zeszłego stulecia, uwzględnivszy różnice lat jakie pomiędzy arabskim i chrześcijańskim kalendarzem zachodzą. Tedy chcąc sensu kolejnych wersów dociec, wzrok ku dołowi począłem przesuwać. W blasku wieczornego słońca, równomiernie na kamieniu się rozkładającym, w czerwonej jego aurze, w miejscach wolnych od arabskich wzorzystych napisów, dostrzegłem coś na kształt rytów staroegipskich. Wzrok uważniej na nich koncentrując rozpoznałem zapis hieroglificzny. Dłoni po hieroglifach kilkakroć krążyłem, ażeby piasku resztki w żłobieniach zaległe, usunąć. Pierwsze słowa jakie udało mi się w sensowną sentencję ułożyć brzmiały „Jeśliś już do miasta Weset zawitał, czwartą parę pylonów minął i do obelisku tego twarzą stanął, od lewej dłoni patrząc, a do słońca południowego tyłem się kierując, ku najbliższej kaplicy przechowującej barkę obrzędową się udaj.” Domyśliłem się zrazu że kamień ten ze starożytnego miasta Weset, współcześnie Karnak zwanym, w pobliżu Luxoru znajdującego się pochodzić musi, zacz częścią był któregoś z obelisków strzelistych. Zgodnie z sądami tymi, cel naszej wyprawy nie odległym już pozostawał. Radość wielka w serce moje wstąpiła na myśl, że wkrótce już trud wędrówki naszej zakończony zostanie i w murach miejskich chłód i wytechnienie łatwiejszym do znalezienia będzie. Gdy euforia myślą tą wywołana zacichła nieco, powróciłem do odczytywania inskrypcji hieroglificznych. W coraz to bardziej rzednącym blasku zachodzącego słońca, większej nabierały wyrazistości. Raz jeszcze przemknąłem wzrokiem po znakach zgodnie z ich porządkiem, na powrót od początku rozpoczynając. „W zarannych promieniach wschodzącego słońca po obelisku się ślizgających, w godzinę zrównania się nocy z dniem w przesileniu wiosennym, zapis ten możliwym do odczytania będzie. Słońce wówczas blask na kamieniu roznieci, a ryty ciemnymi pozostawi. Jeśliś już do miasta Weset zawitał, czwartą parę pylonów minął i do obelisku tego twarzą stanął, od lewej dłoni patrząc, a do słońca południowego tyłem się kierując, ku najbliższej kaplicy przechowującej barkę obrzędową się udaj. Na ścianie wschodniej kaplicy, wpatrzywszy się wnikliwie, zarys drzwi kamiennych a tajnych przed sobą obaczysz. Siłą na nie w żadnym z wypadków napierać nie próbuj. Wzrok ku górze unieś i przypatrz się uważnie portalowi drzwi te wieńczącemu. Odlicz czwarty blok kamienny rozmiarów niewielkich, od prawej ręki poczynając. Naprzyj na niego siłą całą dłoni prawej, a drzwi same przed tobą na oścież się uchylą. Rozpal zawczasu kaganek oliwny lubo łuczywo i w dłoniach pewnie je uchwycić, jako że ciemności nieprzeniknione otoczą cię wkrótce. Drzwi za tobą zamkniętych nie próbuj otwierać inaczej, jak tylko wyszukawszy pod stopą płycinę drugą, licząc od lewej dłoni. W krypty tajnej znalazłszy się wewnątrz, ściany dwie obaczysz piśmem przodków naszych ściśle wypełnione. Stąd przekazy nasze najstarsze źródło swe biorą, wiedza nasza tajemna i prawda o pochodzeniu naszym, jak też wierzenia i mity na potrzeby obłaskawienia poddanych naszych, stworzone. Jest to zapis dla tego tylko dostępny, kto trudną umiejętność czytania po latach wyrzeczeń posiadał, a przeto do kasty godnej poznania swych początków się dostał i do kręgu wtajemniczonych przeniknął. Zapis czytaj szybko a uważnie, będzie to sprawdzianem najlepszym, czy godnym poznania jego treści się stałeś. Jednym z nielicznych wybrańców będąc, przywileju poznania ta-

jemnic największych dostąpisz, jedno wszak poprzysiąc musisz, treści odczytanych tu inskrypcji nikomu nie zdradzisz, na pytania zaś dociekliwe fałszywej udzielisz odpowiedzi. Zdążyłeś już zapewne wnioski poczynić że treści na ścianach skrywane z pochodzeniem bóstw naszych i Pharaonów łaskawie nam panujących, zgodne nie są, konieczne zaś dla wtajemniczenia następców naszych, by kanony prawomyślności kontynuować mogli i prawdę zastrzeżoną dla kasty naszej przechować.”

Słońce już zdążyło zapaść za pustynne wydmy, a zdjęty ciekawością niezwykłą co do treści inskrypcji, w dłoń ująłem pochodnię i przy jej świetle jaskrawym, ostatnie słowa zapisu tego odczytałem. Domyśliłem się że wiadomość ta dla kapłanów została w kamieniu wygrawerowana, jako jedynych spośród kast społecznych staroegipcjan, czytać umiejących. Oni też jako jedyni obrzędy religijne odprawiali i ludowi egipskiemu prawdy przez siebie ustalane, zwykli przekazywać. Długo jeszcze siedziałem na kamieniu tym, na poły starożytny monument stanowiącym, na poły wskazówkę utajnioną i jednocześnie nagrobek Araba zmarłego przed z górą wiekiem, nie mogąc uprzedniej osiągnąć równowagi. Ciekawość mą naukową rozbudziła i nie pozwalała jej ze stanu dystrakcji się wydobyć, owa krypta tajemna, jej ściany pismem pokryte i przekaz ów przed wzrokiem ludzi postronnych, skrywany. Wieczoru tego ogniska długo w noc nie paliliśmy. Zmęczeni, za namową przewodnika na nagrobnych kamieniach do snu wszyscyśmy się ułożyli, od śmiertelnych ukąszeń skorpionów i węży w ten sposób chronieni. Kilimem wzorzystym i kolorowym wielce, kamień granitowy nakryłem i na hieroglifach odczytanych zaległem.

Długo nocy tej oczu do snu przymknąć nie mogłem. Niebo rozgwieżdżone obserwować począłem, starając się wytypować zmrużonymi oczyma najjaśniejszą spośród gwiazd na firmamencie widzianych. Czynnością tą zmęczony, spadające gwiazdy dostrzec się starałem, a gdy któraś z nich pułapu ziemi dosięgła, starym zwyczajem życzenie jakieś cicho wypowiadałem. Pierwszym z nich było ażeby córeczka moja Zorajda, w czas nieobecności mojej zdrową pozostała, rozłąkę ze mną bezboleśnie przetrwać mogła, rysów ojca swego nie zapomniała i powitania ze mną wytrwale wyczekiwała. Gdy kolejna z gwiazd na piaszczyste pustkowia upadła, o żonie mojej wiernej zrazu pomyślałem. W duszy życzenie wyraziłem, ażeby w uczuciu szczerym do mnie nie ustała, jako ja o niej, tak i ona o połowicy swojej, nieustannie rozmyślała. Przy kolejnej gwieździe na nieboskłonie zagasłej, nieśmiałe życzenie wyrzekłam, ażeby w kondycji niezgorszej z ekspedycyi tej, niebezpieczeństw pełnej, powrócił i w zdrowiu obie te ukochane istoty mógł powitać. W głowie mej myślami rozmaitymi zwykle przepełnionej, myśli bardziej jeszcze nieprzeniknione krążyć poczęły, sen zabłąkany z powiek spędzając. Imaginowałem, w jakiż to sposób drzwi do krypty tajemnej otwierać się muszą, w jakimż to piśmie inskrypcje na ścianie wykonane zostały? Wszystko wskazywać się zdawało, że pismem tymże samym co ryty na granicie, pod moimi plecami z każdą godziną twardniejącym. Przeto przedstawiać muszą wielobarwne hieroglify, jakie na ścianach zwykle umieszczano, nie za pomocą dłuta ryte, lecz pędzlem miękkim naniesione. Za barwnik bieli posłużyć musiały zapewne wapień lub gips, żółcień z jaj ptasich utarto, a brąz z grudek sieny palonej był zapewne pozyskiwany, czerń natomiast jak wszędzie z węgla. Zieleń najpewniej z malachitu ucierano, niebieski zaś z azurytu, czerwień niechybnie ze rdzy na rudzie żelaza się gromadzącej. Wieki też całe zapewne upłynąć musiały, od czasu gdy postać ludzka w owej komnacie gościć mogła, jakże osobliwe zapachy panować tam musiały, wonią starożytności przeniknięte, oddechy staroegipskich kapłanów w sobie przechowujące. Zastanawiała mnie też precyzja niezwykła z jaką granit na którym spocząć mi przyszło, obrobiono. Kilim wełniany jako na tafla lodu pode mną się ślizgał, po bocznych zaś ścianach dłońmi wodząc, bruzdy najmniejszej nie napotkałem, jakoby pioruna wyładowaniem ów blok kamienny przecięty został. Zdziwiło mnie to wielce, jako że z przekazów przyjaciół moich z Egiptu powracających, dowiedziałem się jakoby narzędziami miedzianymi, w wyniku podsypywania piaskiem, podobne cięcia następowały. Gdyby nawet miedziane narzędzia najdoskonalszymi były, w żadnym z wypadków powierzchni równie gładkiej pozostawić by nie mogły, tym bardziej też kątów idealnie prostych wyciąć. Dłońmi po powierzchni kamiennej wodząc, napotkałem otwór nadgarstek mogący pomieścić. Doskonale kragły był i długi co najmniej na ramię ludzkie, wskroś bloku kamiennego przewiercony. Wokół rdzenia

wiertarskiego, pod palcami wyczuwalne były regularne żłobkowania i równomierne bruzdy. Długo się zastanawiałem nad narzędziami współczesnymi, zdolnymi podobny otwór wykonać, a nie mogąc żadnego z nich w pamięci przywołać, począłem w głębszym pogrążyć się letargu. Nim sen powolny na umysł rozbudzony mój zstąpił, z wolna poczęła świtać myśl nieśmiała, czy będąc już w murach Karnaku, nie pozbawionym sensu byłoby odszukanie owego obelisku z kamieniem odtrąconym, stanięcie naprzeciw drzwi krypty i wskazówek dalszych dopełnienie. Nie wiedzieć kiedy senność bezmierna mnie ogarnęła, a myśli te poranka następnego z nie mniejszą uporczywością powróciły.

Pustynia libijska, dnia pierwszego września roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Nim jeszcze towarzysze moi zbudzić się zdążyli, pospiesznymi ruchami dłoni papier czerpany i ołówek z sakwojaża dobyłem i wskazówki na kamieniu granitowym wraz z meritum przekazu, w skrócie znacznym spisałem. Ukradkowe spojrzenia przy tym na boki rzucałem, chcąc się upewnić, czy uwagi mojej, z jaką owe czynności dokonywałem, nikt postronny nie dostrzegł. Pomiarów też niezbędnych głązu tego dokonałem, by w Karnaku będąc, a chcąc obelisk odszukać z którego pochodził, rozmiarom wyłomu odpowiadał. Dopiero naówczas zdałem sobie relację w jakim to szczęśliwym położeniu się znalazłem. Mogłem odczytać treść owych zapisów w matowym świetle poranka, nie zaś w chwil kilka, gdy poranny blask słoneczny wartkim strumieniem po powierzchni granitu przebiega, w czas wiosennego zrównania nocy z dniem. Jako że kamień ten leżał na płask, nie zaś trwał w pionowej pozycji, obelisku strzelistego część stanowiąc, a światło słoneczne dowolnie mogło po nim o dnia każdej porze, przebiegać.

Tuż po śniadaniu skromnym, przewodnika karawany wypytywać począłem jak droga jeszcze odległa od Karnaku nas dzieli. Po chwili zawahania dłuższej, wokół się rozglądając, jakoby względem gór okolicznych położenie nasze ustalić pragnął. Odniesienia właściwego nie odnajdując astroluwium z juków wydobył, a do oczu je przystawiając, dokładne położenie nasze określił. Oświadczył że dni trzy wędrować będziemy, jednakże żaden z pustynnych żywiołów, w czasie tym, drogi zagrozić nam nie może. Ni wiatr samumem zwany w tym czasie wiać powinien, ni burza piaskowa nawałnicą nieprzebrnioną, horyzontu przysłonić. Wielce odległa ta czasowa perspektywa zrazu się wydała. Nie mniej postanowiłem nie zdradzać nikomu przyczyn mego zniecierpliwienia, jako że w przypadku podzielenia się spostrzeżeniami swymi z zacnym gronem naukowców, wszyscy oni w chęci odnalezienia owej ukrytej krypty, asystować mi wspólnie by zapragnęli. Nie posiadając umiejętności rozczytania znaków hieroglificznych, rad bezużytecznych nie omieszkali by udzielać, obserwować ruch każdy dłoni moich, ponaglać i reprimendować. Uczynili by tym samym wnikliwe badania niemożliwymi do przeprowadzenia, a w przypadku niektórych z naukowych znakomitości, efekty owych dociekań zapragnęliby sobie przypisać. Nie brak było bowiem i takich indywiduów pośród naszej ekspedycji, uważających że utytułowanymi będąc, dorobek naukowców młodych, mniej uznanych i znamienitych, przywłaszczać sobie bezkarnie mogą. Przeto o niczym, ni jednym słowem nikomu nie wspomniawszy, na zapytania wszelkie o nagłe zniecierpliwienie, trudem i znojem pustynnej wędrówki się zasłaniałem, apatią i migreną z każdym dniem narastającą. Na zapytania bardziej napastliwe, dostrzeżeniem u siebie pierwszych objawów malarii odpowiadałem, co skutek natychmiastowy odnosiło i każdy z tuzów francuskiego panteonu nauk, dociekań dalszych zaprzestawał.

Podczas drogi dalszej, na koniu siedząc głowę wysoko zadzierałem, starając się jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zwietrzyć i przed nim członków ekspedycji ostrzec, ażeby rozpierzchnięciu nie uległa, a cała i zdrowo do celu dotarła, tym samym sprawne urzeczywistnienie zamierzeń moich umożliwiając.

Pustynia libijska, dnia trzeciego września roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Z każdym dniem góry coraz wyższe wokół się wypiętrzały, chmurami wzniecanego piasku przysłaniane.

Wydawać się może jakoby słońce z dniem każdym coraz szybciej w zenicie się ukazywało i strumienie lawy do białości rozgrzanej, wprost na karawanę naszą wylewało. Na domiar złego zapasy wody na wyczerpaniu były, a źródła wszelkiego w pobliżu daremnie było wypatrywać. Z wielu bukłaków z koziej skóry wykonanych, co najwyżej pojedyncze krople wody wysączyć mogliśmy. Przewodnik karawany w słowach pełnych powagi doradzał, ażeby ilość wody ściśle racjonować, by do nieodległego już kresu wędrówki naszej, dla wszystkich wystarczyło. Z godziną każdą pragnienie przemożne co raz to bardziej znać o sobie dawało, dalszy pobyt na pustyni nieznosnym czyniąc. Niektórzy z uczestników ekspedycji naszej miał tylko wody zaczerpnąć, bukłak porywali i do ust przystawiając, tak długo zatrzymywali, aż do cna zawartości jego nie opróżnili. Inni jeszcze dla których wody nie stało, w amok wpadali niewyobrażalny. Z koni zsiadali i biegnąc na oślep krzyczeli, jakoby tuż przed nami o kroków zaledwie kilkadziesiąt oaza, palmami obsadzona się znajduje, a pośród nich studni tyle, ile palm owych. W pogoń za nieszczęśliwymi musiano wyruszać i siłą do karawany ich sprowadzać. Co krewkich bardziej krępować należało i do siodła końskich troczyć. Inni jeszcze halucynacyjom tak sugestywnym ulegali, że opisywali ze szczegółami wszelkimi rodzinę świętą przed oczyma się ukazującą. Jakoby na osiołku jadąc, drogę przeciąć nam miała i kierunek najbliższego wodotrysku wskazywać. Zapewniali że Maryja zawsze dziewica ze źródła tego na co dzień korzysta, pojąc przenajświętsze dziecię swoje i oblicze własne przemylając. Zmuszeni byliśmy konie ich za uzdy trzymać, by w pogoń za mirażem tym nie pomknęli i pośród pustynnych bezdroży nie pobłądzili, po wsze czasy tam pozostając. Inni dopatrywali się w kształtach obłoków postaci aniołów z niebios zstępujących, raz po raz imiona ich wykrzykując, wszystkich nas nakłonić się starali abyśmy kawalkadą całą w miejsce zstąpienia archanioła Gabryela podążali, bo niechybnie w tym miejscu źródło wybijać musi. Widok współczucia godny zachowanie to budziło. Przykre to widowisko człowieka do ostateczności doprowadzonego obserwować, a przykrzejszy jeszcze mieć świadomość że wszyscy pospołu los podobny podzielić możemy i wszyscy też na skutek pragnienia, żywota wspólnie dokonać. Zastanawiałem się nad wytrzymałością niezwykłą zwierząt jucznych, nad ich odpornością na trudy i niewygody wszelkie. Konie czystej krwi arabskiej mniej pić się zdawały od jeźdźców je dosiadających, przy czym nie mniej żwawe były, niżeli na początku wyprawy naszej. Przewodnik Beduin nazywa je keheilan, co w moim tłumaczeniu może oznaczać „czysta krew, najczystsza z czystych”, twierdził on jakoby Allah stworzył je z garści pustynnego wiatru, dla tego też jak wiatr pustynny są szybkie i w biegu nie ustające. We Francji jeszcze będąc o wielu różnicach z innymi rasami azjatyckimi i europejskim słyszałem. Wszystkie inne rasy po osiemnaście żeber mieć miały, sześć kręgów lędźwiowych i osiemnaście kręgów ogonowych, rumaki czystej krwi arabskiej jakoby siedemnaście żeber mieć miały, pięć kręgów lędźwiowych i szesnaście ogonowych, co przewodnik nasz w zupełności potwierdził. Dodał jeszcze że koń ten posiada kolejną u koni innych, niespotykaną cechę, mithab przez Arabów zwaną. Być ma to kąt pod jakim głowa do szyi ustawiona w rasie owej została, rezultatem czego jest cudowne łuku szyjnego wygięcie, na niezwykłą ruchliwość głowy zezwalające. Rumak ten może pono głowę na wszystkie strony obracać, bólu nijakiego przy tym nie odczuwając. Kości jego też twardsze i wytrzymalsze od ras innych być mają. We wszystkie te doskonałości natura miała go obdarzyć w jednym ponoć celu, by trudy pustynnego życia z łatwością znosił i do celu jeźdźców doprowadzał. Wszelkie tym podobne opinie, w rozciągłości całej potwierdzić muszę, od dni kilku wspaniałą klacz tej krwi dosiadając.

Nie wiem do prawdy jak potoczyłyby się nasze dalsze losy, gdyby nie grupa Beduinów na horyzoncie się ukazująca. Zbliżywszy się do nas, po słów kilku wymianie z przewodnikiem naszym, za sobą jechać nakazali, zapewniając że w górach pobliskich studnia czynna się znajduje. Bez namysłu wszyscyśmy w ślad za nimi podążyli, a do wzniesień najbliższych przybywając, nieznacznie tylko w góry się zagłębili, by krąg studzienny napotkać. Nigdy jeszcze dla nas wszystkich żadna z rzeczy ziemskich tyle uroku ni powabu nie posiadała. Nigdy jeszcze woda najzwyczajniejsza tak smaczną się nie wydała, żaden z napojów tak sycącym pragnienie nie był. Z głębi skały tryskając, zimna była ponadto i doskonale przegrzane ciało chłodziła. Każdy z członków ekspedycji napoił usta spierzchłe, a pił ile dusza spragniona zapragnęła, u

niektórych torsję wywołując. Napoiliśmy zwierzęta nasze, po brzegi napełniliśmy bukłaki uprzednio opróżnione, Beduinów życie nam ocalającym sownie przy tym wynagradzając. Odczekawszy aż opadł pustylny kurz, w powietrze wzbity racicami rączych wielbłądów, nim zdążyły sylwetki ich malejące za pagórkami zniknąć, wyruszyliśmy ku końcu nieodległemu wyprawy naszej, radością przepełnieni.

Karnak – Luxor, dnia szóstego września roku tysiąc osiemset dwudziestego i ósmego.

Na widok zabudowań miejskich Karnaku, spośród których pierwsze minarety w niebo wieżycami godzące dostrzegliśmy, wielka w nas wszystkich euforia wstąpiła. Szybciej ospałe wielbłądy, konie, muły wraz z osłami popędziliśmy. Północną bramę wjazdową minawszy, karawanę naszą bez zapytań i zgód żadnych na kwarantannę skierowano. Któryś z namiestników tureckich oznajmić nam tylko raczył, jakoby wszyscy przybysze na przymusowe obserwacje kierowani byli, ażeby malaria lubo inna morowa zaraz w mury miejskie przywleczona nie została. Z niechęcią wielką konieczności wyższej poddać się musieliśmy. Umieszczono nas w pomieszczeniach miejskiego lazaretu, ciasnych a niewygodnych, pod dozór tureckich lekarzy kierując. Po tygodniowym pobycie na pustyni, poznać się w lustrze nie mogłem. Ogorzałem tak bardzo, że od pustynnego Berberysa kolorem skóry na dłoniach i twarzy w niczym się nie różniłem. Rozbieżność jedyna jaka pomiędzy nami zachodzić może to naskórek mój, który całymi płatami z lic moich odchodzi. Jestem jako wąż skórę swoją zrzucający, by młodsza i powabniejsza wyrosnąć mogła. Kwarantanna nasza trzy dni trwała i obok konieczności w unieruchomieniu pozostawiania, tę zaletę posiadała, że beztrudnie wytechnienie po podróży nader wyczerpującej, zapewnić mogła. Pobyt w promieniach słonecznych, jakże niebezpieczny dla organizmów naszych, skutecznie ukróciła. Nie mogła jednak od narastającego zniecierpliwienia nas uwolnić, od chęci nieprzebranej podjęcia się badań naukowych, od tygodni tyłu z utęsknieniem wyczekiwanym. Na bezczynność będąc skazanym, zapisy i rysunki na cmentarzu wykonane podczas nocy pamiętnej, gdy jeden z kamieni starożytnych do mnie przemówił, z sakwojaża dobyłem i uwagę całą na nich koncentrować począłem. Niewiele z nich wywnioskować zdołałem, ponadto że zapisy dla wtajemniczonych stanowią, a sposób ich utajnienia wskazywał na wagę ich niezwykłą. W postanowieniu jeno się utwierdziłem, że chcąc je odczytać, na wstępie odszukać i minąć muszę czwartą pylonów parę. W dalszej kolejności obelisk mi nieznany odnaleźć, brakującym miejscem po kamieniu z którego odczytu dokonałem się kierując. Wymiary i kształt kamienia owego do wyłomu odnieść i dalszych wskazówek ściśle przestrzegać. Ciekawość moją rozbudził przebieg dalszych odkryć, jakże obiecująco już na samym wstępie się zapowiadających, toteż z tym większym utęsknieniem końca kwarantanny wyczekiwałem. W godzinie którejś dnia ostatniego, niebywale się dłużącemu, grono naukowe zaprosiło mnie na obrady niespiesznie zwołane. Ustalić zamierzano konspekt prac badawczych, ażeby wykopaliska nasze nazbyt chaotycznymi się nie okazały. Głos zabrali jako pierwsi ci z Włochów którzy z weteranami egipskiej ekspedycji pod dowództwem świętej pamięci Napoleona Bonaparte, sprzed lat już dwudziestu dziewięciu, korespondencję listowną prowadzili i lokację zabytków w Karnaku przez to poznać zdołali. Uznali oni że wielką salę hypostylową wnikliwym badaniom jako pierwszą poddać należy, a świątyni Ramzesa III i świątyni Ptaha w kolejności dalszej uwagę poświęcić. Nikt ze zgromadzonych oponować nie zamierzał, jako o zespole świątynnym w Karnaku wyobrażenia żadnego nie mający. Ja także na wszelkie propozycje podziału obowiązków przystałem, jednakże jako jedynemu z owego grona, zapisy hieroglificzne zdolnemu odczytywać, niejako większą swobodę badawczą miano mi przyznać. Aliści wielce fakt ten mnie uradował, zważywszy że na uwadze niezmiennie miałem zamiar odnalezienia obelisku, a w kolejności dalszej wejście do świątynnej krypty. Zrozumiałem wówczas że na niefrasobliwość nadmierną w owym prywatnym przedsięwzięciu swoim, pozwolić sobie nie mogę. Regulaminu przestrzegać muszę, a jedynie w godzinach wolnych od prac zespołowych, na osobiste dociekania zdecydować się mogę. Zachowując przy tym wszelkie znamiona prac na chwałę nauki włoskiej czynionych, jako że finansistom swoim, szczegółowe sprawozdania z badań, grono naukowe przedłożyć

się zobowiązało. Wbrew wszystkim tym restrykcjom, pozycja moja nadal uprzywilejowaną się wydawała. Mogłem przecież na nietuzinkowość odkryć w zakresie zabytków piśmiennictwa poczynionych się powołać, niepostrzeżenie na czas dłuższy się oddalić, a słuszności decyzji mojej nikt z naukowców, jako pisma staroegipskiego nie znający, podważyć by nie zdołał.

Obrady nasze w ospałym tempie się toczące, ku rychłemu końcu ostatniego dnia kwarantanny wszystkich nas przybliżyły. Noc ostatnią na pryzach, w nieczym szpitalnych szezlongów nie przypominających, w warunkach higienie europejskiej jawnie urągających, spędzić nam przyszło. Tedy wzorem nocy ubiegłych, robactwo z nazwy nam nieznane, w glinianych murach lazaretu się gnieźdzące, w ilościach wielkich nas obeszło i bolesne opuchlizny zadało. Sam pobyt pośród insektów podobnych, w warunkach z sanitarnymi mających niewiele wspólnego, większe szkody organizmom naszym poczynił, niżeli tygodniowy pobyt na piaskach pustyni, wybuchu prawdziwej epidemii mogąc stać się przyczyną.

Po nocy w wielkich trudach przespanej, rankiem wczesnym, wojskowy lekarz turecki, na mundur biały kitel narzuciwszy, obchód w asyście miejscowych arabskich medyków rozpoczął. Nikomu z nas wnikliwej się nie przyglądając, snadź zmuszony służbowych formalności dopełnić, glejt stosowny wypisał i wszystkich nas za wolnych od zarazy wszelkiej uznał. W dowolnym kierunku udać się zezwolił i przed zapuszczaniem się do wiosek dotkniętych masowym pomorem bądź to ludzi, lubo zwierząt przestrzegął. Słów jego wysłuchawszy jak najszybciej przybytek ten opuściliśmy, ku kwaterom dla nas przewidzianym się udając.

CDN

Drodzy czytelnicy, chciałbym zachęcić do zakupu mojej debiutanckiej powieści MATEMATYCZNY WZÓR NA ISTNIENIE BOGA dostępnej w większości księgarni internetowych w promocyjnych cenach, dziękuję i pozdrawiam, autor.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maciej Bienias, dodano 16.11.2021 15:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.